

Godzina święta

Pewnej wakacyjnej niedzieli, całą „piątką na piątkę” – jak o nich czasem z przekąsem wtedy mówiono, Luluch, Olo, Geno, Rychu i Żozo, spotkali się w sadzie otaczającym dom Gena i skryci za krzakami żywopłotu obserwowali ganek domu. Najpierw z domu wyszli dziadek z babcią, potem ojciec z matką, porozglądali się wkoło, o coś przez chwilę się sprzecali, najpierw jedna para, potem druga, i zgodnie poszli drogą w kierunku kościoła. Kobiety drobnym truchtem, mężczyźni grubym krokiem, każde z nich kołysząc się w swoim rytmie, zniknęli za wzgórzem. Na horyzoncie, w nieruchomej mgiele i wśród lekko kołyszących się chmur, została tylko wpatrzona w niebo wieża kościoła.

Gdy dom opuścili wszyscy dorośli, chłopcy wyprowadzili ze stajni konie. Klepali je łagodnie po karkach i plecach, śmiejąc się, zagadywali. Podprowadzili do wozu. Ustawili konie po obydwu stronach dyszla. Klacz Karą z prawej strony, Orlika z lewej.

– Potrzyмай Żozo lejce, a wy chodźcie ze mną do szajerka. Po chwili Luluch i Geno dźwigali w kierunku wozu wyciągniętą z szopy drewnianą skrzynię, a Olo i Rychu nieśli wielki kłęb szarozielonkawej sieci. Wrzucili sieć do skrzyni i załadowali z tyłu na wóz. Geno wziął lejce i lekko wskoczył na pojazd. Za nim Luluch i Żozo. Olo i Rychu otworzyli dwuramienną bramę.

– Wio ! Konie ruszyły lekko, jakby radośnie wyjeżdżając z podwórza. Gdy wóz wyjechał za ogrodzenie, Olo i Rychu zamknęli bramę i w biegu wskoczyli na tył pojazdu.

Chłopcy czuli radosne dreszcze na myśl o czekającej ich przygodzie. Jechali polami wśród złocących się w słońcu pagórków. Im bliżej było do wijącej się pośród morenowych wzgórz rzeczki Bachy, wyboje i koleiny na drodze były coraz głębsze, a skrzypienie i kołysanie wozu coraz większe. Czuli, jakby znajdowali się coraz bardziej pod tajemniczym wpływem widocznej na horyzoncie góry, zwanej Szlosbergiem. W wiekach średnich stał tam zamek krzyżacki, a o jego skarbach krążyły legendy. Wpatrzeni w srebrzącą się połyskliwie rzeczkę, ulegali magii miejsca i rozkołysani nadzieją na wielki połów, wsłuchiwali się w parskanie koni, upojonych biegiem.

Robili to zawsze w ten sam sposób. Zarzucali do wody wielką sieć o dwóch skrzydłach, z sakiem pośrodku, i ciągnęli ją pod prąd po dwóch z każdej strony rzeki. Jeden, idąc przodem, uderzeniami kija płoszył ryby, znajdujące się przy brzegu, aby nie wyslizgiwały się po bokach. Kiedy czuli, że matnia jest ciężka, wyciągali sieć i wrzucali ryby do napełnionego wodą cebrzyka.

Dziś, gdy znaleźli się nad rzeką, posłyszeli dzwony kościoła, które oznajmiały samo południe.

– Przeczekajmy, aż przebrzmi i przeminie godzina święta! – któryś odezwał się. Przeżegnali się i w milczeniu utkwili wzrok w wieży kościoła. Nagle ujrzeni, jak coś wielkiego, jakby jakiś srebrzysty olbrzym ukazał się na chwilę ich oczom, błysnął w powietrzu i znikł, rozplywając się w nurtach rzeczki.

Poczuli, że rzeczy wkoło pod wpływem niepojętej siły – drzewa nad brzegiem, pola z wzgórzami, rzeczka, nawet chmurki jasne i lekkie niczym pióra łabędzi, znaczące przyjazną dla zbioru pogodę – na tę chwilę się zatrzymały i przemieniły. A wszystko, jakby okiem słońca na niebie, uważnie im się zaczęło przyglądać. Ulotne chmurki stały się niebiańskimi aniołkami. Zaszumiały lekko pola żniwnym szeptem, ciężkim od pełnych nowego życia kłosów.

Po drugiej stronie rzeki pole było już skoszone i pokrywały je równe rzędy ustawionych w jasnożłote sztygi snopów zżętego żyta.

Nagle, w czasie gdy jeszcze nadal grzmiały dzwony, z środka jednego z mendlu zboża wyszło kilkuletnie dziecko o jasnych, równo przystrzyżonych, rozpuszczonych długich włosach. Ubrane było w białą długą do kostek koszulę i głośno płakało. Jego płacz rozlewał się daleko dookoła jakimś wielkim smutkiem. Widzieli jego oczy, wielkie, błyszczące w słońcu jak perły. Pełne były wyrazu jakiegoś niewypowiedzianego żalu. Łzy, niczym mnożące się klejnoty, spadając z oczu, sypały się na ściernisko.

Dziecko, olbrzymiejąc na ich oczach, zaczęło iść w kierunku rzeki, roniąc za sobą istne żywe gwiazdozbiory błyszczących w słońcu i wsiąkających szybko w wysuszoną ziemię łez, przypominających spadające gwiazdy. Chłopcy przyglądając się tej scenie, najpierw bardzo się przestraszyli, ale potem także poczul, że może powinni się dzieckiem jak najszybciej zaopiekować i czymś ukoić jego łzy.

Zbliżywszy się do wody, dziecię popatrzyło w niebo, wes-tchnęło, potem jeszcze raz, jeszcze głośniej, donośnie westchnęło. W końcu zapłakało, i stając się nieoczekiwanie, tylko na niewielką chwilę, jakby jakimś niepojętym olbrzymem, skoczyło do wody i znikło w nurtach rzeki. Plusk wody był donośny jak wystrzał z działa, czy może raczej jak uderzenie grzmotu. Echo wybuchu obejmowało wszystko wkoło swą grozą. Patrzyli, jak jego podmuch łamał krzewy i drzewa nad rzeką, nawet spore olchy i brzozy.

Konie spłoszyły się i w panice poniosły w pole. Geno zdołał w końcu pochwycić je za uzdy i na chwilę uspokoić. Wskoczywszy na wóz, po jakimś czasie nieco uspokoił konie i popędził w panice do domu. Gdy jednak zbliżyli się do zakrętu, na którym stała wiekowa akacja, czy bardziej poprawnie, grochodrzew, konie stanęły i nie chciały iść, nawet poganiane batem i krzykami. W tym drzewie, najstarszym w okolicy, podobno od setek lat mieszkwały duchy. Zwierzęta ruszyły dopiero wtedy, gdy jeden z chłopców podszedł z przodu, przeżegnał się i batem zrobił przed końmi znak krzyża. Wyrwały z miejsca tak szybko, że nie wszyscy zdołali ponownie wsiąść na wóz i musieli biec aż na samo podwórze, gdzie dopiero się zatrzymały.

Konie jeszcze przez wiele dni były niespokojne, a zwłaszcza trzeba było unikać jazdy z nimi tą samą drogą w kierunku rzeki Bachy. Chłopcy stali się na jakiś czas jacyś zamyśleni i milczący i nie byli już tego dnia, ani przez wiele dni następnych, zdolni do łapania ryb, ani do czegokolwiek innego.

Wiele razy, na różne sposoby, próbowali sobie wytłumaczyć i zrozumieć coś z tego, co widzieli i czuli. Lecz nikt im nie wierzył, gdy opowiadali to zdarzenie.

– Oni wszyscy powariowali! – taka rozniosła się opinia.

– Nie chce wam się uczyć, ani pomagać w polu, to wymyślacie niestworzone bzdury!

– Uczcie się! Wiedzy nie trzeba nosić na plecach, a przydaje się przez całe życie – usłyszeli.

Chłopcy w końcu uznali, że samym prostym ludzkim rozumem, czy nawet uzbrojonym w naukowe mądrości, nie są w stanie do końca swojego życia zrozumieć tego, co się wtedy stało.

I z upływem lat, będą coraz bardziej zapominali o tamtym zdarzeniu, a także o sobie nawzajem i o swojej pierwszej przyjaźni.

I przez ponad pół wieku, w odstępach kilku lub kilkunastu lat, niektórzy z nich, jeden po drugim będą odchodzili ze świata. Najpierw, o wiele za wcześniej, odszedł Żozo. Ale on pierwszy nieszczęśliwie się zakochał.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Alfeusz, dodano 21.03.2012 10:32

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.